

Veronica Colin

Kosz pełen kamieni

Budził się dzień. Czekałam na końcu drogi, tam, gdzie drzewa rosną znacznie rzadziej niż w głębi lasu. Nad rzeką wisały smugi mgły, a słońce powoli wspinało się po niebie. Za godzinę powinno wznieść się nad szczyty gór i oświetlić tę stronę doliny.

Wstałam jeszcze przed świtem, żeby nakarmić konia, obrządzić go i zaprząć do dwukółki. Zajęło mi to więcej czasu niż się spodziewałam - ręce miałam tak zmarznięte, że z trudem radziłam sobie z wiekową skórzaną uprzężą - ale mimo wszystko zdążyłam na czas.

Oni natomiast wyraźnie się spóźniali. Przechadzając się w tę i z powrotem, i rozcierając zgrabiałe ręce zastanawiałam się, co mogło być tego przyczyną. Zazwyczaj byli bardzo punktualni. Wreszcie nad szczytami drzew pojawił się znajomy kształt transportera, który na chwilę zawisł nad polaną, po czym powoli osiadł na tym samym miejscu co zawsze. Koń spłoszył się trochę, więc chwyciłam go za uzdę i gładząc po pysku przemawiałam do niego łagodnie aż do chwili, kiedy ucichło irytujące brzęczenie silników.

W bocznej ścianie transportera otworzyły się drzwi i z wnętrza niezbyt pewnym krokiem wyszedł człowiek. Zawołałam do niego, a on spojrzał na mnie, powoli zszedł po trapie i ruszył w moją stronę.

Był potężnie zbudowanym, wysokim mężczyzną - tak wysokim, że rękawy granatowego kombinezonu, w który go ubrali, sięgały mu zaledwie do połowy przedramion. Do piersi mocno przyciskał niewielki plastikowy pojemnik. Miał bladą cerę i głęboko osadzone, podkrążone oczy. Długotrwała hibernacja odcisnęła na nim swoje piętno, a z tego, co słyszałam, zaraz po powrocie wzięli go ostro w obroty.

Teraz jednak był tutaj.

- Nazywam się Anna - powiedziałam podniesionym głosem, ponieważ pilot uruchomił silniki i transporter powoli uniósł się w powietrze. - Wsiadaj do wózka. Czeka nas dość długa droga, a nie wydaje mi się, żebyś miał ochotę na spacer.

Poradzisz sobie?

- Tak.

Z trudem wspiął się na wysoki stopień i przycupnął na wąskiej drewnianej ławeczce.

Wskoczyłam z drugiej strony, szarpnęłam lejcami i dwukółka powoli potoczyła się wąską leśną drogą. Zimowe wichury przewracały sporo drzew, więc kilka dni temu musiałam je pousuwać. W powietrzu czuć było zapach drewna. Koń niespiesznie podążał w stronę domu, od czasu do czasu pochylając głowę, by skubnąć trochę świeżej trawy.

Zerknęłam ukradkiem na mężczyznę. Był spięty, jego wychudzona twarz przypominała maskę. Tylko oczy poruszały się bez przerwy, chłonąc otaczające go widoki.

- Do domu dotrzemy najwcześniej za godzinę - powiedziałam tak cicho, że musiał pochylić się w moją stronę, by cokolwiek

usłyszeć. - Potrzebujesz czegoś?

Pokręcił głową. Jechaliśmy w milczeniu aż do chwili, kiedy znaleźliśmy się na odkrytym terenie, w pełnym blasku słońca. Na ciemnoniebieskim niebie nie było ani jednej chmurki.

- Włóż to - poleciłam, wręczając mu starą czapkę, a on posłusznie założył ją na głowę. Pomogłam mu ułożyć płócienny fartuszek w taki sposób, żeby zasłaniał kark. - Trzeba uważać na słońce - dodałam. - Nowa warstwa ozonowa jeszcze nie jest tak gruba jak powinna. Lepiej nie ryzykować.

Mruknął coś niewyraźnie. Żadnych pytań. Szczerze mówiąc, nie oczekiwałam ich na tak wczesnym etapie. Spróbowałam wyobrazić sobie, że jestem na jego miejscu, spojrzeć na dolinę jego oczami przyzwyczajonymi do regularnych kształtów maszyn, wyblakłych kolorów, czarnych cieni o wyraźnych granicach. Tutaj otaczała go chaotyczna mieszanina światła, barw i dźwięków: wiatr kołysał gałęziami modrzewi pokrytych delikatnymi, soczystymi zielonymi igłami, nieregularne, kamieniste koryto rzeki wypełniła spieniona, donośnie szumiąca woda.

Będzie potrzebował sporo czasu, żeby się przyzwyczaić, ale czas nie stanowił problemu. Mogłam zaofiarować mu go tyle, ile zechce.

Zaraz po dotarciu do domu wyprzęgłam konia i zaprowadziłam go na padok, gdzie przez chwilę dokazywał jak źrebak, a potem zaczął tarzać się, parszcząc głośno z rozkoszy.

Mój gość stał bez ruchu czekając, aż skończę. Poczułam krótkotrwały przypływ irytacji; dlaczego oni wszyscy zjawiają się w takim stanie?

- Chodź.

Weszłam pierwsza, wskazując mu drogę do obszernej kuchni połączonej z pokojem dziennym. W palenisku wciąż jeszcze żarzyło się kilka węgla, więc dorzuciłam trochę drewna, rozdmuchałam płomień i postawiłam czajnik z wodą.

- Powiedzieli ci coś o tym miejscu?

- Niewiele - odparł zaskakująco silnym głosem. - Tylko tyle, że potrzebuję odpoczynku, więc wyślą mnie tam, gdzie będę mógł stopniowo przyzwyczajać się do życia w nowoczesnym świecie. - Obrzucił spojrzeniem ziota suszące się pod belkowanym sufitem, moje zabłocone buty stojące przy drzwiach, czajnik syczący cicho na kuchni. - Tyle że ten świat wcale nie wydaje mi się taki nowoczesny.

- Znajdujemy się w Parku Narodowym Sektora Północno-Wschodniego, a ja jestem Anna Lawers, kustosz. Opiekuję się tą częścią Parku. Moja specjalność to rekonstrukcja dawnych ekosystemów rolniczo-leśnych. Prowadzę coś, co kiedyś nazywało się małym gospodarstwem, hoduję zwierzęta, uprawiam różne rośliny i jestem prawie całkowicie samowystarczalna. Coś w rodzaju żywego eksponatu muzealnego. Od czasu do czasu przyjmuję także gości, takich jak ty.

- Takich jak ja... A więc życie większości ludzi wygląda inaczej niż twoje?

- Zupełnie inaczej. Jak długo cię nie było?

- Ponad trzysta lat waszego czasu. Spodziewałem się wielu zmian, ale...

Nie dokończył zdania, tylko ciężko opadł na krzesło.

- Zaraz będzie herbata - powiedziałam. - A potem pokażę ci twój pokój. Będziesz mógł odpoczywać, jak długo zechcesz.

Przez pozostałą część dnia robiłam to samo co zwykle: doglądałam inwentarza, przekopywałam poletko ziemniaków, naprawiałam płot. O zmierzchu wróciłam do domu, wzięłam prysznic i założyłam czyste ubranie. Z jego pokoju nie dobiegały żadne odgłosy, więc ostrożnie uchyliłam drzwi i zajrzałam do środka.

Spał na wznak, całkowicie ubrany, z wyjątkiem butów, które ściągnął przed położeniem się do łóżka i rzucił pod ścianę.

Wciąż tulił do piersi plastikowy pojemnik. Oddychał tak słabo, że na pierwszy rzut oka wyglądał jak nieboszczyk.

Jon Wicklow, piąty oficer naukowej wyprawy numer 291 do Układu Fenicjańskiego. Tej, która zaginęła bez wieści ponad sto pięćdziesiąt lat temu. Przed trzema tygodniami na orbicie wokółziemskiej pojawiła się kapsuła ratunkowa, nadając na rzadko używanej częstotliwości sygnał awaryjny. Jedynym pasażerem okazał się Jon, zamknięty w kokonie hibernacyjnym. Maksymalny dopuszczalny okres hibernacji wynosił dwadzieścia lat; on przespał półtora wieku. Żył i chyba nawet nie postradał zmysłów, ale nie pamiętał, gdzie był ani co się stało z pozostałymi członkami dziesięcioosobowej załogi. Z pamięci komputera pokładowego ktoś pracowicie wykasował wszystkie zapisy.

Oprócz Jona w kapsule znajdowało się kilkanaście kamieni - zwykłych otoczków, takich, jakie można znaleźć na brzegu niemal każdej rzeki. Pobieżne badania pozwoliły ustalić, iż są to

kawałki kwarcytu, powszechnie spotykanej skały metamorficznej.

Jon ani na chwilę nie rozstawał się z kamieniami i nie chciał nawet słyszeć o tym, by oddać je do dokładniejszej analizy.

Nagle otworzył oczy i usiadł na łóżku.

- Zrobiłam obiad - powiedziałam. - Chodź, trzeba coś zjeść.

Był bardzo głodny. Zjadał ze smakiem, wymazując sos kawałkami razowego chleba. Na deser były jabłka; wziął jedno, po czym rozejrzał się niepewnie dokoła.

- Jeśli szukasz sterylizatora, to nic takiego tu nie znajdziesz - poinformowałam go. - Ale nie przejmuj się, żywność jest stuprocentowo bezpieczna. Poza tym wszystkie starannie umyłam.

Nie sprawiał wrażenia przekonanego, niemniej jednak zjadł jabłko ze skórką i ogryzkiem, podczas gdy ja zaparzałam herbatę. Czułam potworne zmęczenie. To był ciężki dzień.

- Co ja tu właściwie mam robić? - zapytał niespodziewanie.

- To miejsce... - Zatoczył ręką koło. - I ty... Nie spodziewałem się czegoś takiego.

- A czego się spodziewałeś?

- Bo ja wiem? Betonowej celi. Zastrzyków ze skopolaminy.

Przesłuchań.

- Myliłeś się. - Wstałam i zaczęłam sprzątać ze stołu. -

Rób, co chcesz. Możesz chodzić, gdzie cię oczy poniosą. Dokoła masz osiemset kilometrów kwadratowych dziewiczego terenu.

Odpoczywaj, śpij, czytaj. W kącie stoi czytnik na baterie słoneczne ze sporym zapasem tekstów naukowych. Gdybyś miał ochotę popracować, zawsze znajdę dla ciebie zajęcie, ale nie

traktuj tego jako obowiązku. Wrócisz do prawdziwego świata dopiero wtedy, kiedy sam poczujesz, że jesteś gotów.

Przez pierwszy tydzień nie odstępowałem mnie ani na krok, przyglądając się, jak pracuję w domu i ogrodzie. Zorientowawszy się w rozkładzie moich zajęć, zaczął pomagać mi w najprostszych czynnościach: zbierał jajka, zamykał na noc kury w kurniku, czyścił i poił konia. Ostre rysy jego twarzy trochę złagodniały, bladeść ustąpiła miejsca zdrowej opaleniznie.

Zaczął szybko przybierać na wadze, w związku z czym pewnego dnia musiałam wybrać się do magazynu po nowy kombinezon.

- Zwykle jeżdżę tam konno raz w miesiącu - wyjaśniłam. -

Przywożę rzeczy, bez których nie sposób się obejść: nasiona, sól, narzędzia. Jeśli potrzebuję czegoś poważniejszego, na przykład desek albo drutu kolczastego, biorę dwukółkę, a w razie jakiejś nagłej awarii mogę zażądać dostawy przez komunikator.

Po kolacji siedzieliśmy przy kominku rozmawiając o różnych głupstwach. Jon od niedawna zapuszczał się dość daleko w dziewiczą okolicę, a po powrocie z wypiekami na twarzy opowiadał mi, gdzie był i co widział. Zawsze zabierał ze sobą plastikowy pojemnik.

- Nikogo nie spotykam, zupełnie nikogo, za to czasem widuję jelenie i króliki. Wczoraj wieczorem o zmierzchu zaskoczyłem starego, dorodnego borsuka, który jakby nigdy nie szedł sobie ścieżką. Myślałem, że już dawno temu zostały wytępione.

- Niewiele brakowało, a tak by się stało - odparłam. -

Teraz prawie wszystkie dziko żyjące ssaki są pod ścisłą ochroną, więc w parkach takich jak ten ich liczba szybko rośnie. Wyjątek stanowią króliki: na nie można polować bez ograniczeń. Jutro na obiad będzie gulasz z królika, bo przydybałam jednego w ogrodzie.

- Podoba mi się tutaj - powiedział Jon. - Żyje się ciężko, ale przyjemnie. Kiedy chodzę, wyraźnie czuję skałę pod warstwą ziemi, jak kości pod skórą... - Umilkł na chwilę, po czym zapytał: - Anno, dlaczego nie zadajesz mi żadnych pytań?

- O co?

- O wyprawę do Układu Fenicjańskiego. Zanim... Zanim mnie tu przywieźli, wypytywali mnie niemal bez przerwy.

- Jeśli zechcesz, sam mi opowiesz - odparłam jakby nigdy nic. - Cokolwiek się stało, wydarzyło się setki lat temu, więc jakby w innym życiu. Może jest ważne, a może wcale nie.

- Myślę, że jest ważne - powiedział, wpatrując się w ogień. - Ale na razie nie chcę o tym myśleć. Za bardzo boli.

Tej nocy słyszałam, jak szlocha w swoim pokoju. Leżałam z szeroko otwartymi oczami jeszcze długo po tym, gdy zapadła cisza.

Dwa dni później pokazał mi kamienie. Dyskutowaliśmy o sposobach wznoszenia ścian i murów w związku z moim planem otoczenia padoku kamiennym ogrodzeniem. Włączyłam czytnik, by pokazać mu lotnicze zdjęcia północnych wrzosowisk porzecinanych szarymi pręgami.

- Te mury mają kilkaset lat. Przeczytałam wszystko, co



napisano na ich temat i jestem pewna, że też potrafię takie zbudować. Potrzeba mi tylko drewnianych szalunków, pionu i porządnego młotka... Najgorsze jest zbieranie kamieni. Zaczęłam dwa lata temu, ale wątpię, czy wystarczyłoby mi ich choćby na jedną stronę.

Nagle uświadomiłam sobie, że za wiele mówię i raptownie umilkłam, ale Jon nie zwrócił na to uwagi. Chyba udzielił mi się mój zapach.

- Chętnie ci pomogę, naprawdę. Nie powinnaś sama robić wszystkiego.

- Na tym polega moja praca - odparłam. - Na odtwarzaniu, powtórnym odkrywaniu, kopiowaniu dawnych metod. Budowanie murów to nic wielkiego. Potrzebuję tylko czasu i mnóstwa kamieni.

- Kamienie... - powtórzył z namysłem. - Czym dla ciebie są?

- Łatwo dostępnym materiałem, którego ludzie używali od zarania cywilizacji. Budowali z nich schronienia, robili narzędzia, rzeźbili ołtarze i posągi, szlifowali i polerowali, żeby służyły ozdobie... Czasem myślę, że są też zaprzeczeniem przemijania. Weź na przykład piramidy: wciąż istnieją, podczas gdy ich budowniczy już dawno obrócili się w proch.

- To banał.

- Wcale nie. Naprawdę tak uważam.

- Kiedyś myślałam podobnie jak ty. Znam się trochę na geologii, bo szkolono nas przed wyprawą. Naturalnie mam tylko podstawowe wiadomości, bo specjalistką w tej dziedzinie była... Zapomniałam, jak się nazywała. W każdym razie jedno nie

ulegało dla nas wątpliwości: gdziekolwiek dotrzemy, na pewno znajdziemy tam kamienie, skały, góry i kratery. To wspólna cecha wszystkich planet bez względu na to, jakie formy życia zamieszkują ich powierzchnię albo kryją się w różnych zakamarkach i szczelinach. Kiedy wylądowaliśmy...

Zdjął plastikowy pojemnik przewieszony na pasku przez oparcie krzesła, położył go na stole, otworzył i obrócił w moją stronę.

W środku były kamienie. Kilkanaście rzecznych kamieni trochę mniejszych od kurzych jaj, w większości gładkich, z nielicznymi wgłębieniami, porowatościami i rysami. Każdy inny. Błyszczały w blasku ognia. Były piękne.

Spojrzałam na Jona, po czym wyciągnęłam ręce i podniosłam jeden z nich. Wydawał się ciepły, jego dotyk zaś działał dziwnie uspokajająco. Przez minutę albo dwie obracałam go w dłoniach, następnie zaś, tknięta jakimś impulsem, przyłożyłam kamień do czoła i zamknęłam oczy.

Jon wyrwał mi go tak gwałtownie, że aż krzyknęłam.

- Nie wolno ci tego robić! - wysyczał, blady z wściekłości. - Nigdy, rozumiesz?

Nic nie odpowiedziałam, tylko patrzyłam, jak delikatnie wkłada kamień do pojemnika.

- Tylko tyle pozwolili mi zatrzymać - odezwał się ponownie po dłuższej chwili. - Na pamiątkę.

- Oni, to znaczy kto?

- No, tamci. Załoga. Casper, Mike, Lee-Yung i cała reszta.

Udało nam się, chyba nawet za bardzo.

Oparłam łokcie na stole.

- Mów dalej.

- Na pewno wiesz, że nasza wyprawa była jedną z wielu, jakie wyruszyły niemal w tym samym czasie. Ich celem było znalezienie nowych planet, na których mogliby zamieszkać ludzie. W chwili, gdy startowaliśmy, liczba ludności Ziemi przekroczyła piętnaście miliardów. Było tak ciasno, że prawie nie dało się ruszyć. Ścisk, tłok, brak miejsca... -

Ruchem głowy wskazał za okno. - Teraz chodzę całymi dniami i nikogo nie spotykam. Co się stało? Czyżby wszyscy wyemigrowali na inne planety?

- Rzeczywiście, sytuacja trochę się ustabilizowała - odparłam ostrożnie. - Większość wypraw, o których wspominałeś, zakończyła się fiaskiem. Owszem, natrafiono na parę interesujących planet, ale zawsze było jakieś "ale": brak wody, za dużo dwutlenku węgla, za niskie albo za wysokie ciśnienie atmosferyczne... Potem wybuchły Wojny Biologiczne i problem jakby sam się rozwiązał. Spełniły tę samą rolę co Czarna Śmierć w średniowieczu.

Opowiedziałam mu o zmutowanych wirusach uwolnionych przez grupy terrorystyczne z pilnie strzeżonych laboratoriów.

Rozprzestrzeniały się błyskawicznie, zbierając obfite żniwo, ponieważ nikt nie wiedział, jak z nimi walczyć.

- Umierały miliony, dziesiątki milionów ludzi. Oglądałam to na starych taśmach wideo. To były okropne czasy. Od tamtej pory staramy się naprawić zniszczenia...

- Niektórzy jednak przeżyli.

- Owszem. Częściowo za sprawą przypadku, częściowo dzięki wrodzonej odporności. Przetrwali wcale nie najsilniejsi, tylko ci, którzy dysponowali odpowiednim zestawem przeciwciał.

Roześmiał się cicho.

- Czy to nie zabawne? Odbyliśmy tak długą podróż, a kiedy znaleźliśmy to, po co nas wysłano, okazuje się, że nikt tego nie potrzebuje! - Spojrzał na kamienie. - Nigdy w życiu nie widziałem czegoś równie pięknego. Wszystko było tam takie, jak należy: doskonałe powietrze, mnóstwo słodkiej wody, obfita roślinność. Żadnych kręgowców, ale w morzach i tak roiło się od życia. Porównałbym to z paleozoikiem na Ziemi. Bujna, niczym nie skażona przyroda.

- Mimo to wróciłeś.

- Tamci chcieli zostać, zatrzymać wszystko dla siebie.

Sprzeciwiłem się. Przypominałem im o naszym zadaniu, o zobowiązaniach wobec ludzkości... Tak im założyłem za skórę, że w końcu dosypali mi do jedzenia jakiegoś środka oszałamiającego, wsadzili do kapsuły i wysłali w drogę powrotną. Po trzech latach samotności zdecydowałem się na hibernację. Niewiele mnie obchodziło, czy się z niej kiedykolwiek obudzę.

- A kamienie?

- Zebraliśmy mnóstwo próbek. Dali mi jedną na pamiątkę.

Nie sądzisz, że to wyjątkowo wspaniałomyślny gest?

Podnosząc się z krzesła musnęłam palcami jego rękę.

- Zapomnij o tym. Jesteś z powrotem w domu.

- W domu... - powtórzył z goryczą. - Gdzie jest mój dom?

Na pewno nie tutaj. Ja nie jestem stąd.

Nazajutrz zesłałam nad rzekę, ścięłam kilka naręczy wiklinowych gałązek, po czym usiadłam w progu i uplotłam koszyk. Może nie wyglądał najpiękniej, ale ja i tak byłam zadowolona ze swego dzieła. Wręczyłam go Jonowi, kiedy wybierał się na kolejny spacer.

- To na kamienie - powiedziałam. - Wymościłam go papierami i mchem, a tu masz uchwyt, gdybyś chciał zabrać go ze sobą. Gdybyś jednak zdecydował się zostawić je w domu, obiecuję, że nie tknę ich palcem.

- Prezent! - ucieszył się jak dziecko. - Anno, jesteś...

Przerwał w pół zdania i odwrócił wzrok, jakby zawstydził się z jakiegoś powodu, po czym ostrożnie przełożył kamienie z pojemnika do kosza.

- Jak jaja w gnieździe - zauważyłam z uśmiechem. - Postaw je w słońcu. Niech zobaczą, do jakiego świata trafiły.

Postawił koszyk przy drzwiach, w plamie słonecznego blasku, a następnie cofnął się o krok i powiedział:

- Chyba rzeczywiście zostawię je tutaj... Naturalnie jeśli nie masz nic przeciwko temu? - dodał pośpiesznie.

- Skądże znowu - odparłam. - Nie wracaj zbyt późno.

Długo patrzyliśmy sobie w oczy, po czym odwrócił się raptownie i chwilę potem zniknął w lesie.

Kolację jedliśmy powoli, smakując każdy kęs. Przyniosłam z piwnicy dzbanek młodego wina, który opróżniliśmy do dna.

- Chodź do łóżka - powiedziałam wreszcie, wstałam od stołu, podeszłam od tyłu do Jona i objęłam go, tuląc policzek

do jego twarzy. Zaciśnął ręce na moich przegubach, jakby bał się, że zaraz ucieknę. Jego włosy pachniały dymem.

- Chodź do łóżka - powtórzyłam. - Już pora.

Kochał się ze mną tak, jak tego oczekiwałam: gwałtownie i szybko. Zbyt szybko. Za drugim razem był ostrożniejszy, zwracał uwagę nie tylko na siebie, ale starał się także zaspokoić moje potrzeby. Nie tylko czerpał rozkosz, lecz również próbował się nią dzielić.

- Pragnąłem cię od pierwszego dnia - wyszeptał. - Nawet wtedy, kiedy nosiłaś ten okropny zielony kombinezon.

Przesunął rękę na moją pierś. Leżeliśmy spleceni nogami.

Nasze spocone ciała szybko stygły. Zadrżałam, a on naciągnął na nas kołdrę.

- Zostań ze mną - poprosił drżącym głosem. - Nie odchodź.

Nigdy.

- Nie mam najmniejszego zamiaru - odparłam czując, jak zapadam w sen.

Obudziłam się o świcie. Jon leżał oparty na łokciu wpatrując się we mnie, delikatnie przesuwał palcami po mojej twarzy. Na łóżku między nami stał kosz pełen kamieni.

- Jesteś piękna, Anno. Leż spokojnie, nie ruszaj się. Chcę się z tobą czymś podzielić.

Bardzo delikatnie położył mi na czole jeden z kamieni. Był chłodny i ciężki. Leżałam nieruchomo jak posąg.

- Ten kamień zabierze cię w miejsce, w którym byłem.

Poproś go o to. Szybko. Teraz.

Minęła długa chwila.

- Co widzisz? - zapytał.

Miałam wrażenie, że jego głos dociera do mnie z wielkiej odległości.

- Nic... - odparłam z wahaniem. - Chociaż, zaczekaj...

Tak, światło jest zupełnie inne. Wszędzie dokoła czerwone cienie, wiatr podrywa tumany pyłu. Trochę się przejaśnia. W oddali widzę góry, ale tutaj teren jest płaski. To chyba wierzchołek jakiegoś płaskowyżu, bo kilka kroków ode mnie jest krawędź przepaści. Ktoś tam stoi...

Ucisk na czole zelżał. Otworzywszy oczy, ujrzałam mokrą od łez twarz Jona.

- A więc na ciebie też to działa - powiedział. -

Wiedziałem.

- Jon, ja tam byłem! Mogłem się poruszać, słyszałem wycie wiatru, czułem smak pyłu... To było tak realne, jakby działa się naprawdę! W jaki sposób...

- Nie mam pojęcia. Te kamienie to coś w rodzaju wyjątkowo silnego medium empatycznego, które uaktywnia się pod wpływem fal mózgowych, ciepła albo czegoś takiego. Wyobraź sobie urządzenie rejestrujące, które niczego nie zapomina, które potrafi bez końca odtwarzać na twój użytek wszystkie zdarzenia, jakich było świadkiem. Musisz tylko poprosić je, by pokazało ci właśnie to, co chcesz zobaczyć. Pojedynczy kamień ma zasięg około stu metrów, a jego pamięć sięga wielu milionów lat wstecz.

- Kiedy na to wpadłeś?

- Prawie od razu. Właściwie powinny być trudne do znalezienia, bo leżały porozrzucane w znacznych odstępach i

niczym nie różniły się od zwykłych kamieni, ale zdawały się wołać do nas, prosić, żebyśmy podnieśli je, wzięli do ręki...

Początkowo korzystaliśmy z nich bez opamiętania, lecz bardzo szybko przekonaliśmy się o własnych ograniczeniach. Jeden kamień - proszę bardzo, ale już nawet dwa to było za wiele. -

Umilkł na chwilę, pogrążony głęboko we wspomnieniach, po czym mówił dalej. - Jak tylko poznaliśmy ich możliwości, zaczęliśmy je zbierać, zaznaczać na mapie miejsca, w których je znaleźliśmy, opisywać i tak dalej.

- Dlaczego te, które przywiozłeś, przez cały czas trzymałeś w zamkniętym pojemniku?

- Ponieważ po to, by zacząć działać, potrzebują światła. W ciemności niczego nie rejestrują. Zrobiłem to na wszelki wypadek, bo nie wiedziałem do jakiego świata wracam.

- Tam nic nie rośnie - powiedziałam spokojnie. - To nie był raj, o którym opowiadałeś.

- Kiedyś był - odparł Jon. - Dowiedzieliśmy się tego od kamieni. Woda, roślinność, ciepło... Teraz została tylko pustynia. Ten potworny wiatr wieje tam bez przerwy.

Jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Odwróciłam się na bok i przytuliłam go mocno.

- To nie wszystko - ciągnął głosem niewiele donośniejszym od szeptu. - Zabiłem człowieka. Lee-Yunga. Właściwie bez powodu. Wszyscy byliśmy podenerwowani, kłótnie wybuchały z najbliższych przyczyn. Pewnego dnia zbieraliśmy razem kamienie, on powiedział coś, co mi się nie spodobało, a ja straciłem panowanie nad sobą. Nagle zapragnąłem stłuc na krwawą



miazgę tę jego kretyńską, wiecznie zadowoloną twarz. Staliśmy właśnie na krawędzi przepaści, więc przyszło mi do głowy, że wystarczy go lekko popchnąć i sprawa będzie załatwiona. Tak też zrobiłem.

Spadał powoli, z szeroko rozpostartymi rękami i nogami, od czasu do czasu odbijając się od ściany urwiska. Nie krzyknął; dopiero kiedy runął na dno rozpadliny, do moich uszu dotarł okropny, głuchy odgłos. Zbiegłem na dół i przekonałem się, że jeszcze żyje, mimo zmiażdżonej klatki piersiowej, połamanych kończyn i zmasakrowanej twarzy. Przyglądałem mu się przez kilka sekund, po czym chwyciłem najbliższy kamień i z całej siły rąbnąłem go w głowę. Musiałem to zrobić. Nie mogłem patrzeć na jego cierpienia.

Milczałam.

- W bazie powiedziałem, że Lee-Yung niedługo wróci, po czym wsiadłem do kapsuły, włączyłem procedurę awaryjną i uciekłem, zostawiając ich na pastwę losu.

Odetchnąłem głęboko.

- A kamienie?

- Zanim odszedłem od Lee-Yunga, wybierałem wszystkie, jakie mogłem znaleźć. Każdy z nich pokazałby im, co naprawdę zrobiłem.

Obejrzałem to raz, w kapsule. - Odniosłam wrażenie, iż w jego oczach dostrzegam kosmiczną pustkę. - Zaraz potem uruchomiłem kokon hibernacyjny.

- Chcę zobaczyć to na własne oczy - powiedziałam. -

Proszę.

Jon podał mi kamień, a ja odwróciłam się na drugi bok i

przycisnęłam do czoła chłodny, obły przedmiot. Czułam  
skulone ciało Jona przyciśnięte do mojego.

- Wszystko było tak, jak mówisz - powiedziałam dużo  
później. - Z jednym wyjątkiem: nie zabiłeś Lee-Yunga. Sam się  
poślizgnął.

- Ale chciałem to zrobić!

- Wiem - odparłam. - Czułam twoją wściekłość, przerażenie,  
kiedy zbiegałeś po stromiznie, wreszcie ból i rozpacz, kiedy go  
dobijałeś. Kamienie rejestrują nie tylko obrazy, lecz także  
uczucia i emocje, a nawet myśli.

Jon skinął głową.

- Odsłaniają wszystko, nawet rzeczy, z których istnienia  
nie zdajemy sobie sprawy. Docierają na najmroczniejszych  
zakamarków duszy i umysłu. - Umilkł na krótko, po czym dodał: -  
Anno, między nami nie będzie tajemnic. Już nigdy.

Poczułam lodowate ukłucie strachu. Przez cały miniony  
dzień kamienie stały na progu domu, w pełnym blasku słońca.

- Zaraz po powrocie chciałem się ich pozbyć, ale okazało  
się, że nie mogę. Potrzebuję ich, chyba już wiem do czego. Żeby  
być tak blisko drugiego człowieka, jak to tylko możliwe, żeby  
nigdy nie być samotnym. Anno, powiedz mi, że mnie kochasz! Chcę  
słyszeć twój głos, chcę czuć dotyk twego ciała... Powiedz mi,  
że mimo wszystko mnie kochasz!

- Kocham cię, Jon. - Pocałowałam go i wstałam z łóżka. -

Już późno. Muszę nakarmić zwierzęta, wziąć się do pracy. Śpij.  
Spróbuj zapomnieć o tym, co się stało.

Później, w ciągu dnia, wpadłam na chwilę do domu i weszłam

do kuchni, zostawiwszy zabłocone buty przed drzwiami. Jon gdzieś zniknął, ale na stole, na białej kartce, leżały trzy mikrorejestratory przypominające ohydne owady z długimi, giętkimi kończynami. Poczułam, jak robi mi się niedobrze.

Jon zjawił się kilka minut później, usiadł przy stole i ukrył twarz w dłoniach.

- Kamienie wszystko mi pokazały - powiedział bezbarwnym tonem. - Zaufałem ci, Anno. Dlaczego to zrobiłaś?

- Ponieważ standardowe metody przesłuchań nie dały rezultatów - odparłam. - Nie uwierzyli w twoją bajeczkę o rajskiej planecie, więc przywieźli cię do mnie.

- Robiłaś to już wcześniej?

Skinęłam głową.

- Dwa razy.

- Co się z nimi stało?

- Nie wiem. Przymuszczałnie trafili do któregoś z megaosiedli. W megaosiedlach żyje obecnie zdecydowana większość mieszkańców Ziemi - ciągnęłam, starając się, by mój głos brzmiał jak najnormalniej. - Są w pełni skomputeryzowane, budowane głęboko pod ziemią, zapewniają każdemu niezbędne minimum przestrzeni, dostarczają pożywienia, rozrywek, w razie potrzeby także środków odurzających. Prawie nie powodują szkód w środowisku. Ludzie są szczęśliwi, ponieważ nie wiedzą, że może być inaczej albo zapomnieli, czasem z naszą niewielką pomocą. Wojny Biologiczne istotnie trochę nam pomogły, ale nie rozwiązały wszystkich problemów. Obecnie staramy się przywrócić Ziemi jej dawny wygląd, polega to głównie na tym, że nie robimy

niczego, co mogłoby jej zaszkodzić. Neutralizujemy odpady, sadzimy lasy... Sam zresztą widzisz.

- "My", czyli garstka uprzywilejowanych?

- Jestem dobra w tym, co robię - odparłam. - Pozwolą mi tu mieszkać tak długo, jak długo będę wykonywać polecenia.

- I nie chcesz mieszkać w megaosiedlu.

Przypomniałam sobie, jak wyglądają łany zboża kołyszące się w podmuchach wiatru, przypomniałam sobie łagodne nawoływanie synogarlic, poczułam zapach świeżo zaoranej ziemi.

- Nie chcę.

- Co teraz zrobisz?

- Pojadę do magazynu i przekażę raport przez komunikator.

Kamienie wymagają dokładniejszego zbadania. Myślę, że znajdzie się dla nich jakieś zastosowanie.

- Na przykład jakie? - zapytał ostro. - W zdobywaniu kontroli nad światem? W utrwalaniu władzy tych, którzy teraz ją sprawują?

Nie odpowiedziałam.

- Ile mam czasu?

Wzruszyłam ramionami.

- Dwie albo trzy godziny od chwili, kiedy otrzymają mój raport, ale nie próbuj uciekać, bo i tak zaraz cię znajdą.

Podczas pierwszego badania wszczepili ci mikronadajnik, który błyskawicznie naprowadzi ich na twój ślad. Wszyscy takie mamy.

- Zanim odejdiesz, Anno... - Jego oczy znowu zrobiły się zupełnie puste. - Chciałbym wiedzieć, czy to, co zrobiliśmy...

Czy ty...

- To nie miało żadnego znaczenia - odparłam, wpatrując się w kosz pełen kamieni. - Zupełnie żadnego.

Kiedy wróciłam, było już prawie ciemno. Jon leżał na wznak na łóżku, tak jak pierwszego popołudnia. Kamienie zakrywały jego twarz. Był martwy.

Obok niego znalazłam krótki list:

Kamienie zabrały mnie tam, gdzie jest mój dom. Wiesz, co masz zrobić, Anno. Jedna zdrada wystarczy. Kocham cię.

Zdjęłam kamienie z jego twarzy i ułożyłam je w koszyku.

Miał zamknięte oczy, sprawiał wrażenie kogoś, kto z nadzieją oczekuje na bardzo radosne wydarzenie.

Najpierw długo płakałam, następnie zaś zesłam z koszykiem nad rzekę i wrzuciłam kamienie do spienionej wody. Potem wróciłam do domu, położyłam się obok Jona i przytuliłam go mocno.

Kiedy się po mnie zjawili, był już zupełnie zimny.